



Krakowski „drapacz chmur” nazywany Szkieletem. Wspaniały przykład jednej z wielu niedokończonych, gigantycznych inwestycji PRL. Powstał w latach 1975-79.

TOMASZ WIECH / AGENCJA GAZETA

PAŃSTWOWE, CZYLI NICZYJE. WŁASNOŚĆ W PRL

**POLSKA RZECZPOSPOLITA
LUDOWA MIAŁA
Z WŁASNOŚCIĄ
SPORO PROBLEMÓW
– O TYM WŁAŚNIE,
JAK W LATACH 1945–1989
TRAKTOWANO KWESTIĘ
WŁASNOŚCI, OPOWIADAMY
W DODATKU HISTORYCZNYM
„TYGODNIKA”.**

Po 1945 r. funkcjonariusze nowego systemu w pocie czoła kształtowali w społeczeństwie świadomość rzekomej wyższości własności społecznej nad prywatną – czyniąc z tej pierwszej fundament dla mitu założycielskiego nowego państwa. Ale różne „oporne” i „wyrodne” jednostki próbowały – w sposób mniej lub bardziej zgodny z ówczesnym prawem – budować prywatną przedsiębiorczość, która, mimo wszystko, miała w PRL zaistnieć. Walka była nierówna, ale i nieprosta. W uroczystym pochodzie ku komunistycznej wizji wspólnej własności władze PRL nie były w stanie uniezależnić się od „prywaciarstwa”: zbyt często stawało się ono ostatnią deską ratunku tam, gdzie państwowa gospodarska okazywała się niewydolna. Tym bardziej że mityczna własność obywatelska łatwo i szybko przeradzała się w jednopartyjne zawłaszczenie. Tym samym piętnowane – nie do końca konsekwentnie – „prywaciarstwo” kładło podwaliny pod przyszłą prywatną inicjatywę; przygotowywało nas na nowe, lepsze czasy. Kiedy nadeszły, rozpoczęliśmy upragniony pochód w stronę przeciwną. Długo pielęgnowana tęsknota za posiadaniem czegoś na własność, za uniezależnieniem

się od centralnie sterowanej gospodarki zaowocowała po 1989 r. eksplozją przedsiębiorczości prywatnej. Jednak nie bez minusów: z minionych czasów pozostała nam niechęć do wspólnej własności. PRL zgasił w nas szacunek dla tego, co państwowe, gminne, osiedlowe, wspólne. Owszem, gospodarczo wyszliśmy na swoje. Moralnie pozostała w nas skaza – mówi o niej w tym dodatku prof. Janusz Czapinski – którą niełatwo będzie uleczyć. To, co państwowe, stało się niczyje; własność inna niż prywatna przestała się liczyć. W prezentowanych na kolejnych stronach analizach próbujemy zmierzyć się z peerelowskim stosunkiem do własności (Andrzej Zawistowski) i z traktowaniem przez władze przedsiębiorczości prywatnej (Krzysztof Madej); próbujemy wytyczyć granice – często płynne – między tym, co wspólne, a tym, co stanowiło majątek państwowy (Anna Machnikowska) i wreszcie zajrzeć do portfela przeciętnego obywatela, a także – o czym pisze Arnoś Bećka – za (finansowe) kulisy rządzącej nami przez prawie pół wieku Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

MICHAŁ BARDEL, MARCIN ŻYŁA

Dodatek powstał
we współpracy
z Instytutem
Pamięci Narodowej



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

STOSUNEK PAŃSTWA DO WŁASNOŚCI JEGO OBYWATELI JEST JEDNYM Z PODSTAWOWYCH MIERNIKÓW POZIOMU DEMOKRACJI. IM MNIEJ DEMOKRACJI, TYM WIĘKSZE ZAGROŻENIE DLA WŁASNOŚCI PRYWATNEJ.

ANDRZEJ ZAWISTOWSKI

Polacy mieli to nieszczęście, iż w stosunkowo krótkim czasie przyszło im zetknąć się z dwoma totalitaryzmami: nazizmem i komunizmem.

Każdy z nich odcisnął swoje piętno na własności Polaków. O ile jednak Niemcy nie uciekali się do wykrętnych tłumaczeń prowadzonej przez siebie polityki, o tyle komuniści uparcie realizowali swoje utopijne pomysły pod sztandarami spełniania postulatów ludu pracującego miast i wsi.

Dlaczego?

Stosunek władz Polski Ludowej do własności prywatnej miał przede wszystkim charakter ideologiczny. To właśnie ideologia nakreśliła główne decyzje w sprawie form własności w PRL. Komuniści, którzy sprawowali władzę od 1944 r., w ciągu kilku pierwszych lat wprowadzili te ideologiczne podstawy w życie. Lata późniejsze to tylko korekty decyzji podjętych przed 1956 r., próby doraźnego pozbywania się kłopotów wynikających z totalnej kontroli państwa nad własnością.

Marksizm powstał na gruncie krytyki kapitalizmu w jego XIX-wiecznej odmianie. Za cel stawiał sobie m.in. zmianę dysproporcji w poziomie życia najbogatszych i najbiedniejszych. Warto jednak wspomnieć, iż tego rodzaju postulaty istniały w programach niemal wszystkich orientacji politycznych. Problemem była jednak droga. Wśród wielu głoszonych przez marksistów teorii była również ta mówiąca o źle dostosowanej podaży do istniejących potrzeb. Uważano, iż zbyt dużo produkowano dóbr luksusowych, a przez to drogich i skierowanych do wąskiej grupy odbiorców, zbyt mało zaś powszechnie dostępnych i tanich. Komuniści twierdzili, iż nakłady sił i środków przeznaczone na zaspokajanie potrzeb najbogatszych można z powodzeniem wykorzystać na wielokrotnie większe zaspokajanie potrzeb biedniejszych. Nie mogło się to stać samoistnie – potrzebne były zdecydowane działania. W ich ramach zakładano likwidację prywatnych środków produkcji, ich różnorodności, a także mechanizmów wolnorynkowych i pieniądza. To „oświecona” władza partii komunistycznej, pozbawiająca ludzi szeroko pojętej wolności, stosując dyktaturę, doprowadzić miała do gruntownych zmian politycznych i gospodarczych. Dopiero ich urzeczywistnienie miało prowadzić do liberalizacji politycznej i likwidacji systemu dyktatury proletariatu.

Wspomniane wyżej zasady po raz pierwszy zastosowano w Rosji Radzieckiej i ZSRR. Nie wchodząc w szczegóły: władza radziecka zlikwidowała własność prywatną (zaczynając od bogatych przedsiębiorców, przez rzemieślników, na chłopach skończywszy). Co prawda w czasie realizacji w latach 20. Nowej Polityki Ekonomicznej pojawili się prywatni przedsiębiorcy, jednak traktowano to jako chwilowe ustępstwo, taktyczny odwrót.

Przywiezione na sowieckich czołgach w 1944 r. władze Polski Ludowej od samego początku były przekonane o konieczności kopiowania radzieckich wzorów. Ich pozycja polityczna w społeczeństwie nie była jednak silna, więc wszelkie posunięcia postanowiono przeprowadzać powoli i rozważnie.

Będzie dobrze

„Rodacy! Kraj wyniszczony i wygłodzony czeka na wielki wysiłek twórczy całego naro-

du. Krzywdy, zadane przez okupantów, muszą być jak najprędzej naprawione. Własność, zrabowana przez Niemców (...) będzie zwrócona prawowitym właścicielom. Majątek narodowy, skoncentrowany dziś w rękach państwa niemieckiego oraz poszczególnych kapitalistów niemieckich, a więc wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, handlowe, bankowe, transportowe oraz lasy, przejdą pod Tymczasowy Zarząd Państwowy. W miarę regulowania stosunków gospodarczych nastąpi przywrócenie własności. (...) Zniesione zostaną niemieckie znieprawdzone zakazy, krępujące działalność gospodarczą, obrót handlowy między wsią i miastem. Państwo popierać będzie szeroki rozwój spółdzielczości. Inicjatywa prywatna, wzmagająca tętno życia gospodarczego, również znajdzie poparcie państwa”. Powyższy cytat pochodzi z dokumentu-fundamentu Polski Ludowej. Przygotowany w Moskwie, a ogłoszony w Chełmnie 22 lipca 1944 r. Mani-

fest PKWN w kwestiach gospodarczych nie zapowiadał żadnych rewolucyjnych zmian (z wyjątkiem reformy rolnej, o czym dalej). Czytający ten dokument mogli więc czuć się bezpiecznie, a ci, którzy utracili majątek, mogli liczyć na restytucję mienia. Rzecz jasna, nie dotyczyło to tych wszystkich, którzy swój majątek mieli na wschód od linii Curzona. Oni, pomni doświadczeń lat 1939–1941, nie mieli już żadnej nadziei...

Z panami skończyliśmy w '44

Wyjątek w powyższym stanowila kwestia reformy rolnej. W manifeście zapowiedziano przeprowadzenie jej w radykalnej formie. Do rozparcelowania przeznaczono majątki powyżej 50 ha (w przypadkach przedwojennych terenów województw: poznańskiego, pomorskiego i śląskiego limit ten podniesiono do 100 ha).

Ziemia miała trafić do pracowników folwarcznych, chłopów bezrolnych i małorol-

ZBYSZKO SIEMASZKO / FORUM



Domki wczasowe, Zalew Zegrzyński; 1964 r.

O komunistycznym JANOSIKU, czyli jak PRL zabierał jednym i nie dawał drugim

nich. Dotychczasowi właściciele parcelowanych majątków tracili wszystko – prawo nie zezwalało im nawet na osiedlenie się w tym samym powiecie, w którym znajdował się ich dawny majątek. W praktyce zmuszeni byli wyjeżdżać o wiele dalej, tak by ich obecność „nie krępowała” nowych właścicieli. Zagładzie ulegały w ten sposób wielowiekowe gniazda szlacheckie, ostoje polskości. Jerzy Łojek oceniał, iż z krajobrazu Polski zniknęło w ten sposób 11 tysięcy polskich dworów!

Parcelacje nie były jednak jedynymi formami zmian własności na wsi. Wprost w ręce państwa trafiały też duże, najczęściej specjalistyczne, gospodarstwa rolne. Z nich stworzono w końcu lat 40. Państwowe Gospodarstwa Rolne – chyba najbardziej wyraziste przykłady kompletnego bankructwa ekonomicznej ideologii PRL. Tworzyły one, zupełnie niewydolne ekonomicznie, były stale dotowane, by stanowić przykład socjalistycznej przewagi w stosunkach własności. Gdy w 1989 r. zawalił się system komunistyczny, w krótkim czasie PGR-y zbankrutowały, pozostawiając po sobie tysiące „sierot” – dawnych pracowników nieprzystosowanych do życia poza wszechmocną niegdys opieką państwa.

Zasady reformy rolnej dotyczyły tylko ziem dawnych – na tzw. Ziemiach Odzyskanych w ręce państwa przechodziło wszystko. Nawet osiedlający się tam przesiedleńcy ze Wschodu nie otrzymywali prawa własności do przekazywanych im nieruchomości, a jedynie 99-letnią wieczystą dzierżawę.

Reforma rolna, czyli przekazanie ziemi z jednych rąk prywatnych w drugie, nie była zgodna z marksowskimi koncepcjami. W 1944 r. nie chodziło jednak o pryncypia ideologiczne, a o kupno poparcia politycznego. Komuniści w prosty sposób chcieli wykorzystywać rozwiązania, które w XIX w. zastosowały państwa zaborcze w celu tłumienia polskich zrywów narodowych. W 1848 r. Austriacy, a w 1864 r. Rosjanie przeprowadzili uwłaszczenie w taki sposób, by maksymalnie zaszkodzić szlachcie, która była w znacznej mierze ostoją polskości, i pozyskać nieprzychylnie jej chłopstwo. Od strony ekonomicznej reforma rolna też nie była sukcesem. Powstałe w jej wyniku gospodarstwa rolne miały średnią wielkość ok. 5 ha, co oznaczało, że nie były to gospodarstwa farmerskie prowadzące nowoczesną gospodarkę rolną. Polscy komuniści liczylili jednak, iż gdy umocni się ich władza, ponownie przejmą rozdaną ziemię w trakcie kolektywizacji rolnictwa.

Do generalnej próby skolektywizowania polskiej wsi przystąpiono w czasie realizacji planu sześcioletniego (1950–1955). Przy pomocy propagandy (bogaty chłop, czyli kulał, był jej ulubionym bohaterem), a przede wszystkim różnego rodzaju brutalnych nacisków próbowano nakłonić chłopów do przekazywania swojej ziemi do rolniczych spółdzielni produkcyjnych. Spotkało się to z radykalnym oporem. Co prawda w latach 1949–1955 liczba spółdzielni produkcyjnych na polskiej wsi rosła (z 243 do 9322), to jednak ziemia „polskich kołchozów” stanowiła tylko ok. 10% arealu upraw w Polsce. Rok 1956, czyli odwilż polityczna spowodowała, iż w grudniu tego roku istniały już tylko 1534 spółdzielnie. Fiasko polityki kolektywizacji polskiej wsi było największą porażką ideologiczną komunistów w całym 45-leciu PRL.

Gdy robotnik dostał fabrykę

Manifest PKWN nie straszył nacjonalizacją, wprost przeciwnie – obiecywał zwrot tego, co zostało odebrane przez niemieckie okupanta. Władze od 1944 r. przejmowały

jednak większe przedsiębiorstwa pod Tymczasowy Zarząd Państwowy. Formalnie jednak nie powodowało to zmiany stosunków własności i zgodnie z obietnicami miało być to rozwiązanie tymczasowe. Jednak 3 stycznia 1946 r. Krajowa Rada Narodowa uchwaliła „Ustawę o przejściu na własność państwa podstawowych gałęzi gospodarki narodowej”. Wyliczono dokładnie 17 kategorii przedsiębiorstw, które podlegały przejściu przez państwo – od kopalń i hut po browary, młyny i gorzelnie. Nacjonalizowano również transport oraz przedsiębiorstwa telekomunikacyjne. Razem z przedsiębiorstwami nacjonalizowano także należące do nich prawa (jak znaki firmowe czy patenty). Dodatkowo nacjonalizacji miały podlegać wszystkie pozostałe przedsiębiorstwa, o ile zatrudniały powyżej 50 osób na jedną zmianę.

Ustawa przewidywała odszkodowanie za przejęte mienie w postaci papierów wartościowych. Należać miało się ono jedynie tym, którzy byli Polakami, a w czasie wojny nie współpracowali z Niemcami. Szczegóły w sprawie odszkodowań miały zawierać przepisy wykonawcze do ustawy, których nigdy nie uchwalono... Obywatel Polski Ludowej był w tej sytuacji zupełnie bezradny (drobne sumy uzyskali tylko nieliczni). Inaczej było w przypadku obcokrajowców z państw Zachodu. Rządowi tych krajów udało się uzyskać od PRL znaczące kwoty z przeznaczeniem na odszkodowania dla swoich obywateli za nacjonalizowane w Polsce mienie. Pisząc wprost – PRL lepiej traktowała obywateli obcych państw niż swoich własnych. Oczywiście informacje na ten temat dla Polaków były tajne.

Bogu, co boskie, a państwu, co ziemskie

Wspominana już reforma rolna nie objęła ziemi kościelnej. Była to decyzja świadoma – władze w 1944 r. były zbyt słabe, by rozpocząć generalne starcie z Kościołem. Z biegiem czasu władze poczuły się silniejsze. Kościołowi odbierano całe organizacje (jak np. Caritas), skonfiskowano w parafiach księgi metrykalne. Czas na generalną rozgrywkę przyszedł w marcu 1950 r. Uchwalona wówczas ustawa przejmowała na rzecz państwa wszystkie nieruchomości ziemskie związków wyznaniowych. Kościół tracił nie tylko ziemię, ale także znajdujące się na niej budynki, zakłady, inwentarz żywy i martwy. Co więcej, w uchwalonej w 1950 r. ustawie zastrzeżono, iż unieważnione mogą być umowy sprzedaży kościelnej ziemi zawarte od 1944 r.! Ustawa przewidywała, iż dochody z przejętego majątku złożą się na Fundusz Kościelny.

Z powyższego unormowania wyłączono majątki proboszczów, o ile nie przekraczały one progów obszarowych ustanowionych wcześniej w dekrecie o reformie rolnej. Co więcej, jeżeli gospodarstwa te były większe niż 50 ha (lub 100 ha), proboszczowie traciли jedynie nadwyżkę. Na takie traktowanie wielcy właściciele ziemscy nie mogli liczyć! Specjalne traktowanie proboszczów związane było z próbą wewnętrznego podzielenia Kościoła, co w sposób znakomity ułatwiłoby z nim walkę (w tym czasie gorliwie organizowano ruch „księży patriotów”).

Po raz drugi zaatakowano własność kościelną przy pomocy ustawy uchwalonej w ostatnich dniach grudnia 1958 r. Dawała ona możliwość przejmowania majątku w zamian za niewywiązywanie się z obowiązków podatkowych i innych płatności na rzecz państwa. Jako jedną z takich zaległości uznano korzystanie przez Kościół z budynków na terenie tzw. Ziemi Odzyskanych. Jako iż cały istniejący tam majątek władze uznały za swój, istniała możliwość naliczenia olbrzymich

opłat i kar za wykorzystywane przez Kościół budynki. Władze korzystały z tego dość ochoczo zwłaszcza podczas konfliktu z Kościołem w latach 60. Gdy napotykały na opór księży – przejmowały niektóre budynki (co czasami spotykało się z gwałtownymi protestami społecznymi, jak np. w 1960 r. w Zielonej Górze czy 1966 r. w Brzegu).

Złupić, by budować

Istnienie wyższej konieczności było częstym argumentem wykorzystywanym w celu odebrania prawa do własności. Tak było m.in. ze sprawą odbudową Warszawy, czemu według władz przeszkadzała prywatna własność nieruchomości. Dekret Rady Ministrów z 26 października 1945 r. (czasami nieprecyzyjnie zwany dekretem Bieruta) przekazywał miastu wszystkie warszawskie grunty oraz znajdujące się na nich budynki. Dotychczasowym właścicielom pozwolono ubiegać się o prawo wieczystego użytkowania i nadzwyczajnie obniżoną z tego tytułu opłatę...

W 1950 r. władze rozpoczęły realizację planu 6-letniego. Jednym z jej filarów (oprócz skolektywizowanego rolnictwa) miał być rozbudowany przemysł (zwłaszcza ciężki). Inwestycje wymagały jednak środków, których władze szukały na różne sposoby. Jednym z pomysłów było ograniczenie konsumpcji ludności, a służyć temu miała wymiana pieniędzy. 28 października 1950 r. władze ogłosiły decyzję o zmianie systemu pieniężnego w Polsce. Ceny, płace oraz depozyty w PKO przeliczano według relacji 3 nowe złote za 100 starych. Gotówkę – w relacji 1:100. W tych dwóch ostatnich przypadkach wprowadzono jednak ograniczenia sumy, jaką można było wymienić. Obywatele dostali 10 dni, by zadbać o dokonanie wymiany. Pozostałe pieniądze straciły wartość. Nagle, właściwie z dnia na dzień, władze pozbawiły swoich obywateli dużej części oszczędności (szacuje się, że unieważniono w ten sposób ok. 60 proc. obiegu pieniężnego).

W tym samym czasie wprowadzono unormowania zakazujące osobom prywatnym posiadania bez specjalnego zezwolenia złotych monet, złota (z wyjątkiem wyrobów użytkowych), platyny i dewiz. Wszystkie one, w ciągu 14 dni, miały być zgłoszone do Narodowego Banku Polskiego (a następnie zdeponowane lub odsprzedane). Osobom, które nie wypełniły tych unormowań, groziło więzieniem. Prawo posiadania złota, platyny oraz obcych walut przywrócono Polakom w listopadzie 1956 r. Nadal nielegalny pozostał jednak prywatny obrót walutami, skazujący obywateli na niekorzystne pośrednictwo państwowych placówek bankowych.

Utрудnić życie prywatniarowi

Także rolnicy, choć obronili się przed kolektywizacją, dotykani byli różnego rodzaju ograniczeniami w zarządzaniu własnością. Przez długi okres pozbawieni byli prawa do swobodnego dysponowania swoimi gospodarstwami czy ich powiększania. Bywało, iż zmuszani byli do podporządkowywania swojej produkcji centralnym planom ekonomicznym. Do początku lat 70. wieś była przymuszona do oddawania państwu po określonej cenie części produkcji rolnej. Dopiero po realizacji „dostaw obowiązkowych” chłop mógł wykorzystywać owoce swojej pracy na własny użytek.

Podobnie było z nieruchomościami. Tam, gdzie ich właścicielom udało się zachować do nich prawo – pojawiły się ograniczenia prawa do dysponowania własnością. Decyzjami administracyjnymi do domów, a często do mieszkań wprowadzono zupełnie

obcych lokatorów. Straszyc zaczęło słowo „nadmetraż”, czyli przekroczenie wyliczonej liczby metrów kwadratowych mieszkania przynależnych konkretnej osobie.

Ważnym „punktem oporu” prywatnej własności, którą postanowili zaatakować komuniści, był handel wewnętrzny. W 1947 r. jeden z członków triumwiratu rządzącego Polską, minister przemysłu i handlu Hilary Minc, rozpoczął „bitwę o handel” – czyli usuwanie z rynku prywatnych handlowców. Oskarżał ich m.in. o nadmierne bogacenie się kosztem społeczeństwa. Był to tylko pretekst – w rzeczywistości realizowano w ten sposób kolejny krok przybliżający gospodarkę Polski do wzorca radzieckiego. Za pomocą specjalnych koncesji, wysokich opłat za ich uzyskanie, licznych rygorów fiskalnych, kontroli cen, wreszcie odcięcia od rynku hurtowego rugowano prywatne sklepy z rynku. W latach 1950–1953 obciążenia podatkowe prywatnego handlu wzrosły dziesięciokrotnie. W bardzo krótkim czasie znaczna część prywatnego handlu przestała istnieć, a klienci zmuszeni zostali do korzystania z gorzej rozwiniętej sieci placówek państwowych. Likwidując prywatny handel, władze nie były w stanie zorganizować własnej sieci dystrybucji. W całym kraju zaczęły więc pojawiać się pustynie handlowe, a czarny rynek rósł w siłę. Odwilż październikowa przyniosła odrodzenie prywatnego kupiectwa, ale szybko je zduszono. Handel prywatny, choć w bardzo ograniczonej (liczbowo i towarowo) formie, towarzyszył jednak Polakom przez cały okres PRL.

Na progę przemian

Z biegiem lat istnienia Polski Ludowej wyrosło w Polsce pokolenie, które zupełnie nie pojmowało podstawowych praw własności. Brak ścisłego ich określenia łącznie z prawem do gospodarowania nimi ułatwiał instytucjonalne grabienie własności prywatnej i państwowej. Po części stało się to przesłanką do późniejszego procesu samouwłaszczenia się nomenklatury partyjnej. Urzędnik mocą swej władzy zaświadczał, iż coś należy (bądź nie należy) do kogoś – i decyzja ta mogła być obowiązkująca, bo gwarantował ją układ polityczny. Dobrym przykładem tego są ujawniane obecnie olbrzymie zaniechania w kwestiach uregulowania praw własnościowych na dawnych ziemiach niemieckich.

W obozie radzieckim Polska była krajem szczególnym. Nigdzie indziej sektor prywatny nie miał takiego znaczenia, jak w PRL. Rzecz jasna, było to wynikiem klęski polityki kolektywizacji wsi. Mimo to, na „prywatniarzy” patrzono bardzo podejrzliwie, daleko było im do pozyskania społecznej sympatii. Propaganda polityczna i historyczna zrobiła swoje – aż do połowy lat 80. w praktyce trudno było znaleźć szersze grono osób opowiadających się za prywatyzacją. Strach przed wyzyskiwaczem-kapitalistą wciąż był wielki. Zasadniczą zmianę w kwestii podejścia do równouprawnienia sektora prywatnego przyniosło uchwalenie przez Sejm PRL w grudniu 1988 r. ustawy o działalności gospodarczej (tzw. ustawa Wilczka). Wprowadzała ona zasady swobodnej działalności gospodarczej. Prywatna własność wreszcie miała szansę na nawiązanie walki z państwowymi molochami. Nie mówiono o denacjonalizacji, a jedynie o „nowym początku”. Poszanowania dla własności (prywatnej, ale także samorządowej czy państwowej) i jej roli w gospodarce przyszło Polakom uczyć się bardzo długo. ♦

→ Dr ANDRZEJ ZAWISTOWSKI jest historykiem, dyrektorem Wydziału Edukacji Historycznej w Biurze Edukacji Publicznej IPN. Wykłada w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie.

ŚWIAT DO WZIĘCIA

JANUSZ CZAPIŃSKI:

W PRL-U FIKCYJNIE

PRACOWALIŚMY I DOSTAWALIŚMY

FIKCYJNE PIENIĄDZE.

KŁOPOT W TYM, ŻE NIE MOGLIŚMY

ZA NIE ZASPOKOIĆ SWOICH

NIEFIKCYJNYCH POTRZEB.

► MARCIN ŻYŁA: Ile jest prawdy w obiegowej opinii, że Polacy nie szanują własności publicznej?

JANUSZ CZAPIŃSKI: Jakies sto pięćdziesiąt procent.

► Co, Pana zdaniem, jest tego przyczyną?

Polacy tak naprawdę nie tworzą społeczeństwa. Dobro wspólne to dobro zintegrowanej grupy społecznej. My tymczasem uznajemy przede wszystkim nasze domowe i rodzinne dobra: chronimy rodzinę, poświęcamy się dla najbliższych. To, co jest obok, niewiele nas interesuje. Aktywni stajemy się dopiero wtedy, gdy bronimy dobra wspólnego przed tymi, z którymi rywalizujemy. Od wielu lat pytamy w ramach „Diagnozy społecznej” o stosunek Polaków do osób, które nie placą za przejazd środkami komunikacji miejskiej albo niesłusznie pobierają zasiłek dla bezrobotnych lub rentę. Okazuje się, że tylko około 40 procent badanych uważa to za problem!

► Czy przyczynił się do tego okres PRL-u?

Polska Ludowa zakonserwowała w nas te postawy, ale nie jest za nie w całości odpowiedzialna. One istniały już wcześniej, jeszcze przed XX wiekiem. Do prawdziwego społecznego skoku zerwaliśmy się tylko raz, po odzyskaniu niepodległości. Wtedy byliśmy w stanie w krótkim czasie zbudować Gdynię, stworzyć Centralny Okręg Przemysłowy. Powstał zarys społeczeństwa, który PRL oczywiście zniszczył.

Jednym z ważniejszych powodów takiego stanu rzeczy była zagłada polskiej inteligencji w czasie II wojny światowej. To przeciwieństwo elity są opiniotwórcze, to one kształtują normy zachowań. Po 1945 r. zabrakło ludzi, którzy mogliby przekazać nowym pokoleniom stary, przedwojenny etos budowy wspólnoty. Trudno się też było spodziewać, że w pozostałej, głównie chłopskiej części społeczeństwa zakiełkuje myślenie w kategoriach wspólnej własności i wspólnego dobra. Dla rolników pałace ich przedwojennych pracodawców były rzeczywistością równie obcą i daleką jak samo państwo. To właśnie przekonanie o tym, że zarówno prywatny właściciel, jak i państwo są w jakimś sensie wyzyskiwaczami, stało się, nie tylko zresztą w okresie PRL-u, głównym sprawcą naszej biedy i niepowodzenia.

Po odzyskaniu suwerenności w 1989 r. nic się nie zmieniło. W dalszym ciągu jesteśmy wobec siebie nieufni, nie potrafimy współpracować. Gula w gardle staje nam na myśl o tym, że moglibyśmy pójść na kompromis, że raczej bywają czasem podzielone. Ten ba-

gaż kulturowy ciągnie się za nami i pęta możliwość poprawy jakości życia. Ciągłe podejrzewamy innych, że mają wobec nas złe intencje. To błędne koło.

► Piszemy w tym numerze, że tezę o uspołecznieniu prawa własności wpisano niejako w mit założycielski Polski Ludowej. Na czym polega ów paradoks, że przez 45 lat PRL-u ani proletariatu, ani „inteligencja pracująca” nie poczuli się, nawet na chwilę, „właścicielami” tego państwa?

Tak naprawdę było to tylko pozorne uspołecznienie – nacjonalizacja, która sprawiła, że obywatele nabrali słusznego skądinąd przekonania, iż las obok ich domu albo fabryka, w której pracowali, należą do odległego, abstrakcyjnego bytu – państwa. Nazywanie tego przez władze własnością społeczną było zabiegiem językowym, który nie miał żadnego wpływu na poczucie – czy raczej na brak poczucia – odpowiedzialności ludzi za dobro wspólne. Fabryka była obca, bo państwowa. A państwo też – bo nie było suwerenne.

Warszawa, Stegny, ulica Karczocho; 1978 r.



KRZYSZTOF PAWEL / FORUM

► Czy obywatele PRL-u mieli chociaż poczucie, że to, co noszą w portfelach, jest ich własnością prywatną? Talony, przydziały, kartki, uprawnienia... to wszystko sprawiło wrażenie życia w świecie całkowicie reglamentowanym. Jakie postawy to budowało?

To nie miało większego znaczenia, czy te kilka banknotów w portfelu traktowałem jako swoją własność, czy też taką, którą „wypożyczyła” mi władza. Działo się tak przede wszystkim dlatego, że pieniędzy w portfelach Polaków było zwykle niewiele. Nie istniał też związek między efektywnością pracy a wysokością dochodów. W PRL-u fikcyjnie pracowaliśmy i dostawaliśmy fikcyjne pieniądze. Kłopot w tym, że nie mogliśmy za nie zaspokoić swoich niefikcyjnych potrzeb.

Polacy nauczyli się w tym okresie zaradności życiowej: „kiwania” państwa. Albo raczej: „kiwania” pewnych reguł życia społecznego po to, aby sobie jakoś radzić. Mówiło się, że coś trzeba „załatwić”. A „załatwić” nigdy nie znaczyło „kupić”. Trzeba było mieć „dojście”, wstać o drugiej w nocy, aby zapisać się w kolejce społecznej. To weszło nam już w krew. Polakom jest łatwiej niż innym włączyć się do działania według niezbyt przejrzystych reguł. Nawet wśród młodych, którzy nie pamiętają czasów PRL-u, wciąż tkwi gotowość do „załatwiania” spraw, którą otrzymali w spadku od starszych pokoleń. Jest to bardzo mocny przekaz kulturowy.

Najgorzej jest to, że nie robi się nic, aby ten przekaz zlikwidować. Polska szkoła reformowała się już na wiele sposobów, ale nigdy w tym wymiarze, który zaowocowałby większym uspołecznieniem dzieci, które do niej trafiają, wzajemnym otwarciem ich na siebie. Nasz system edukacji nie pomaga w budowie świadomości, że wspólne rozwiązanie zadań daje większą frajdę i satysfakcję niż praca indywidualna, że praca zespołowa przynosi jakąś wartość dodaną. Przeciwnie: nacisk jest położony na to, aby uczniowie się ze sobą nie porozumiewali. Trudno więc oczekiwać, że przekaz międzypokoleniowy rodem z PRL-u nagle zniknie.

► Cemu służyła w PRL-u reglamentacja towarów?

Reglamentacja nie wynikała wyłącznie z rzeczywistych braków na rynku – było to również narzędzie kontroli społecznej. Jeśli ktoś dostał talon na małego fiata, w pewnym sensie był już „kupiony”. Rządziej wychodził pewnie na demonstracje, nie buntował się przeciw partii. Tych, którym dawano mniej, w ten sposób karano: za nieprawomyślność, nieschlebienie władzy, niezapisanie się do partii. Było to klasyczne „dziel i rządź”.

► Kolektywizacja rolnictwa, zwłaszcza na tle innych krajów komunistycznych, miała w Polsce stosunkowo niewielki wymiar. Powtarza się często, że przynajmniej u mieszkańców wsi ocaliło to w jakimś stopniu dawny etos własności.

To prawda. Z drugiej strony, etos własności na wsi nie przynosił w przeszłości zbyt dobrych owoców. Po uwłaszczeniu w drugiej połowie XIX w. polscy chłopcy zaczęli zachowywać się podobnie jak niegdysiejsi panowie: drzeć koty o miedź i budo-

wać przekonanie, że moje jest tylko te kilka hektarów – cała reszta to już obcy świat. W tym świecie można już robić wszystko: wyrzucić śmieci do rowu, wykopać dziurę w drodze.

Oczywiście fakt, że rolnictwo w Polsce pozostało w dużym stopniu indywidualne, miał też pozytywne skutki. Zapobiegał na przykład powstawaniu na masową skalę syndromu wyuczzonej bezradności. Chłopi w czasach PRL-u dbali o swój interes, ziemia pozwoliła im zachować gen zaradności życiowej. W krajach, w których kolektywizacja objęła całe rolnictwo, mamy wciąż do czynienia z syndromem wykluczenia społecznego byłych pracowników sowchozów. Oni – a teraz także ich dzieci – z niczym się nie identyfikują, nie posiadają niczego własnego. Nie mają nawet doświadczeń w gospodarowaniu ziemią, w jakimś sensie boją się tego. I wegetują.

Nie można jednak mówić, że uwłaszczenie chłopów było w Polsce przyczynkiem do budowy społeczeństwa obywatelskiego.

► Ciągłe straszą nas jeszcze filary niedokończonych w czasach PRL-u dróg ekspresowych i innych wielkich inwestycji, które pochłonęły państwowe pieniądze. W jaki sposób patrzono wtedy na marnotrawienie wspólnych pieniędzy? Była to porażka partii czy całego państwa?

Była to po prostu porażka wynikająca ze smutnego faktu, że Polacy nie potrafili współpracować. Proszę zresztą zwrócić uwagę na fakt, że także w wolnej Polsce kolejne ekipy rządzące – zarówno centralne, jak i samorządowe – zaraz po objęciu władzy zachowują się tak, jakby zjadły wszystkie rozumy, i zawsze robią „po swojemu”. Takimi niedokończonymi inwestycjami są dziś na przykład gotowe projekty ustaw, które kolejna ekipa – nie zawsze z powodów politycznych – wyrzuca zwykle na śmietnik.

Jeszcze kilka lat temu prawie w ogóle nie rozwijano w Polsce infrastruktury drogowej, tłumacząc to brakiem pieniędzy. Ale gdy spłynęły do nas fundusze europejskie, tempo budowy zwiększyło się niewiele, nieproporcjonalnie do wielkości środków, które teraz możemy na nie przeznaczyć. Dlaczego tak jest? Ponieważ ciągle nie potrafimy się dogadać. Inwestorzy ciągną się nawzajem po sądach, przetargi są zaskarżane, spowalniane. Firmy nie potrafią ze sobą współdziałać, ponieważ każda czuje się w jakiś sposób wykorzystywana przez drugą. Nieumiejętność budowania wspólnoty zadaniowej jest w Polsce przekleństwem.

W naszej kulturze funkcjonuje jeden podstawowy przekaz: bądź bezwzględny wobec całego świata po to, by zapewnić możliwie najlepszy byt swojej rodzinie. Takie podejście sprawia, że wszystko jest dla nas obce. Gdy wychodzimy z domu i zamykamy za sobą drzwi, wkraczamy do obcego świata – takiego, który można wykorzystać dla własnej korzyści. Do świata do wzięcia. ♦

→ Prof. JANUSZ CZAPIŃSKI jest psychologiem społecznym, wykładowcą UW i Wyższej Szkoły Finansów i Zarządzania w Warszawie, przewodniczącym Rady Monitoringu Społecznego.



Hasło propagandowe przed Państwowym Ośrodkiem Maszynowym; 1977 r.

KRZYSZTOF PAWEŁA / FORUM

Jedyny właściciel Polski Ludowej

DZIEJE POCHODZENIA MAJĄTKU POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ ODZWIERCIEDLAJĄ HISTORIĘ ZDOBYCIA PRZEZ NIĄ WŁADZY I JEJ ORGANICZNE ZWIĄZKI Z PARTIĄ RADZIECKĄ.

ARNOŚĆ BEĆKA

Majątek PZPR był jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic Polski Ludowej. Nawet dziś wemy na jego temat nieprawdę niewiele. Jeszcze przez kilka lat po upadku komunizmu wiedza ta była ukrywana przez ideowych następców PZPR, którzy z bogactw dawnej partii czerpali pełni mi garściami.

Partia bierze wszystko

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza była siłą przewodnią Narodu, potocznie nazywa-

na „właścicielem Polski Ludowej”. To określenie w sposób najprawdziwszy i najprecyzyjniejszy wskazuje na realną – również w aspekcie ekonomicznym – władzę partii. Partia miała wszystko, co tylko mogła zechcieć. Nie posiadając osobowości prawnej, nie była podmiotem praw i obowiązków w rozumieniu cywilistycznym. Nie miała zatem wyodrębnionego majątku. Jednocześnie na gruncie prawa cywilnego do 1990 r. obowiązywała zasada jednolitości mienia socjalistycznego. W przepisach kodeksu cywilnego nie można było znaleźć co prawda przepisów dotyczących PZPR, lecz dla każdego, kto żył w rzeczywistości sprzed 1990 r., było oczywiste, że Polska Rzeczpospolita Ludowa jest rządzona niepodzielnie przez partię, że jest ona właścicielem całego majątku znajdującego się na terytorium PRL. Własność prywatna była z punktu widzenia ideologicznego jedynie pojęciem wyjątkowym i przede wszystkim czasowym: miała zaniknąć z chwilą wspięcia się państwa i społeczeństwa na etap wyższy niż socjalistyczny – do komunizmu. Można zatem uznać, iż majątek państwowy w PRL był w całości majątkiem partyjnym. Przynajmniej w sensie ekonomicznym.

Partia czerpała zupełnie dowolnie ze środków majątkowych znajdujących się na terenie PRL. W pierwszym okresie najważniejsze było pozyskanie nieruchomości, w których pomieściłyby się siedziby komitetów partyjnych. Wobec powojennych realiów nie było z tym najmniejszych problemów. Na

tak zwanych „ziemiach odzyskanych” korzystano z mienia poniemieckiego, na terenach przedwojennej Polski dużo było nieruchomości pożydowskich lub należących do klas, które miały zostać wyeliminowane: bogatego mieszczaństwa i kupiectwa.

Budynki wraz z wyposażeniem przejmowano najczęściej bez żadnego postępowania prawnego, gdyż żaden z przepisów nacjonalizacyjnych wydanych w latach 1944–1947 (ani później do 1990 r.) nie przewidywał wywłaszczenia majątku na rzecz partii, a dotychczasowi właściciele nie otrzymywali żadnego dokumentu. Uznawano, że powinni być szczęśliwi, iż wywłaszczenie nie było jednoznaczne z aresztowaniem. Do 1990 r. partia dysponowała 1900 nieruchomościami użytkowymi najczęściej bez żadnego tytułu prawnego (jedynie budynek komitetu centralnego w Warszawie wybudowano z „dobrowolnych” składek społeczeństwa). Były to najczęściej budynki położone w ścisłych centrach miast, przy głównych ulicach lub w bardzo atrakcyjnych miejscowościach turystycznych.

Nieruchomości te najczęściej nie miały założonych ksiąg wieczystych, chociaż zdarzało się, iż w istniejącej księdze wieczystej wpisani byli jeszcze „przez zapomnienie” poprzedni właściciele. W kilku przypadkach jako właściciel w księdze wieczystej wpisana była PZPR, mimo iż nie miała osobowości prawnej. Świadczyło to o tym, że ówczesna władza nie przywiązywała większe-

go znaczenia do dbałości o stan prawny. Było to poniekąd zrozumiałe: wszak mienie państwowe było mieniem partyjnym. Nigdy nie próbowano (nawet po 1990 r.) choćby ogólnie oszacować wartości nieruchomości posiadanych przez partię. Zostały one po 1990 r. odzyskane przez państwo, często po długich procesach sądowych, które trwały całą dekadę lat dziewięćdziesiątych.

Każda nieruchomość była w pełni wyposażona zarówno pod względem biurowym, jak i rekreacyjnym. Komitety powstały z okazałych parków samochodowych. Rzeczy ruchome zostały częściowo odzyskane przez władze lokalne, a częściowo zabrane „na pamiątkę” przez odchodzących po 1990 r. funkcjonariuszy partyjnych. Samochody (polonezy, duże fiaty, lancie) były do połowy lat 90. eksploatowane przez promiennych działaczy SdRP, a następnie odzyskiwane przez państwo, najczęściej w stanie całkowitej ruiny.

Rzeczy ruchome w pierwszym okresie istnienia partii pochodziły głównie z nieformalnych konfiskat i wywłaszczeń. Później źródłem ich pochodzenia były przede wszystkim subwencje państwa.

Również w przypadku ruchomości nikt nigdy nie oszacował ich wartości. Można jedynie spróbować wyobrazić sobie pełne wyposażenie niemal dwóch tysięcy budynków oraz samochody zapewniające mobilność kilkudziesięciu tysiącom etatowych pracowników partii. → STR. VI

Jedyny właściciel Polski Ludowej

Cd. ze str. V

Pieniądze z subwencji, składek i... włamań

PZPR posiadała także środki pieniężne. Pieniądze w walucie polskiej były lokowane najczęściej na rachunkach bankowych prowadzonych dla komitetów partyjnych. W większości przeznaczone były na bieżącą działalność partyjną oraz na wynagrodzenia. Środki te częściowo (ok. 20 proc.) pochodziły ze składek członkowskich, ale nade wszystko z różnego rodzaju subwencji państwowych, takich jak bezpośrednie wypłaty z budżetu, pożyczki z NBP, które następnie były umarzane, stuprocentowe ulgi w składkach na ZUS od wynagrodzeń pracowniczych aparatu partyjnego, bezpłatna praca żołnierzy służby zasadniczej, czynny partyjne.

Były także inne źródła pozyskiwania pieniędzy. Podczas kwerendy w Archiwum Akt Nowych w poszukiwaniu zachowanych dokumentów dotyczących środków finansowych, natrafiłem na teczkę ze szcątkowymi dokumentami zatytułowaną „Akcja Żelazo”. W połowie lat sześćdziesiątych grupa kryminalistów i funkcjonariuszy MSW dokonywała napadów na sklepy jubilerskie w RFN, a zrabowane precjoza i pieniądze przywoziła za pomocą poczty dyplomatycznej do Polski. Być może większość łupów przekazywana była na cele działalności operacyjnej MSW, lecz przypuszczalnie należy, iż ich część otrzymała PZPR.

Partia poza środkami finansowymi lokowanymi w polskich złotych posiadała także środki dewizowe. Wiadomo na pewno, że w 1989 r. z NBP przekazano na rachunki bankowe w Nowym Jorku 225 tys. dolarów amerykańskich, natomiast na rachunkach prowadzonych w polskich bankach partia posiadała 1 450 tys. dolarów i 20 mln franków szwajcarskich. Pieniądze te w całości zostały zawłaszczone na początku 1990 r. przez SdRP, działającą poprzez Aleksandra Kwaśniewskiego, Leszka Millera i Wiesława Huszcę. W pierwszych miesiącach 1990 r. rozpoczęło się masowe wyprowadzanie środków pieniężnych z kont PZPR. Pieniądze te były wypłacane przez byłych funkcjonariuszy PZPR, którzy na przełomie stycznia i lutego 1990 r. zostali członkami SdRP. Przelewane były na własne konta, na konta SdRP lub przeznaczane na działalność gospodarczą „zaprzyjaźnionych” podmiotów gospodarczych lub też na rachunek depozytowy adwokata Mirosława Brycha. Pieniądzy tych nigdy Skarb Państwa nie odzyskał. Najprawdopodobniej nadal krążą w gospodarce, w podmiotach zaprzyjaźnionych z osobami, które je wówczas zawłaszczyły.

O powiązaniu organów partii z aparatem bezpieczeństwa i bankami na przełomie lat 80. i 90. świadczy fakt, iż pewien funkcjonariusz MSW w 1988 r. został szefem Wydziału Zagranicznego KC PZPR (w którego kompetencji były lokaty finansowe zgromadzone na zagranicznych rachunkach bankowych) i w ramach swojej funkcji lokował te środki finansowe w „bezpiecznych” bankach, np. w Nowym Jorku czy Pekinie oraz w X Oddziale PKO BP w Warszawie. Następnie, po rozwiązaniu PZPR w styczniu 1990 r., został dyrektorem tegoż Oddziału i wypłacał ulokowane tam środki działaczom SdRP.

Sprawa „pożyczki moskiewskiej”

W styczniu 1990 r. pomiędzy PZPR a KPZR doszło do zdarzenia finansowego zwanego „moskiewską pożyczką”. Nie są znane na razie żadne szczegóły tej transakcji, nie wiadomo nawet, czy był to element finansowa-

nia wasalnej PZPR w jej schyłkowym okresie przez suwerena KPZR, czy też wręcz odwrotnie. Jesienią 1990 r. doszło do przekazania przez Leszka Millera – przy pomocy radzieckich służb specjalnych – 600 tys. dolarów zwierzchnikom w Moskwie. Według oficjalnej wersji w styczniu 1990 r., na prośbę Mieczysława Rakowskiego skierowaną do Michaiła Gorbaczowa, KPZR przekazała PZPR pożyczkę w kwocie 1 232 tys. dolarów i 500 mld złotych. Celem pożyczki miało być sfinansowanie zjazdu założycielskiego SdRP, działalności dziennika „Trybuna” oraz zaprzyjaźnionych podmiotów gospodarczych. Należy pamiętać, że w tym czasie PZPR i SdRP dysponowały wystarczającymi środkami pieniężnymi zdeponowanymi w polskich i zagranicznych bankach. Około 600 tys. dolarów zostało zwrócone przez Rakowskiego i Millera w prywatnym mieszkaniu. Pieniądze znajdowały się w plastikowej torbie. Oczywiście nikt z obecnych nie zadbał o uzyskanie obowiązującego wówczas zezwolenia dewizowego. Pieniądze były przekazywane oficerom KGB w mieszkaniu Władimira Alganowa. Być może był to nie zwrot pożyczki, ale udział radzieckiego majątku PZPR lub zapłata należnego haraczu.

Sprawa karna została umorzona zaraz po zwycięstwie SdRP w wyborach w 1993 r. i nigdy do końca nie została wyjaśniona. Wskazuje ona widocznie, że wiodąca siła narodu zarówno na początku swojej działalności, jak i na samym jego końcu była ściśle – wręcz organicznie – powiązana z radziecką centralą.

RSW Prasa-Książka-Ruch

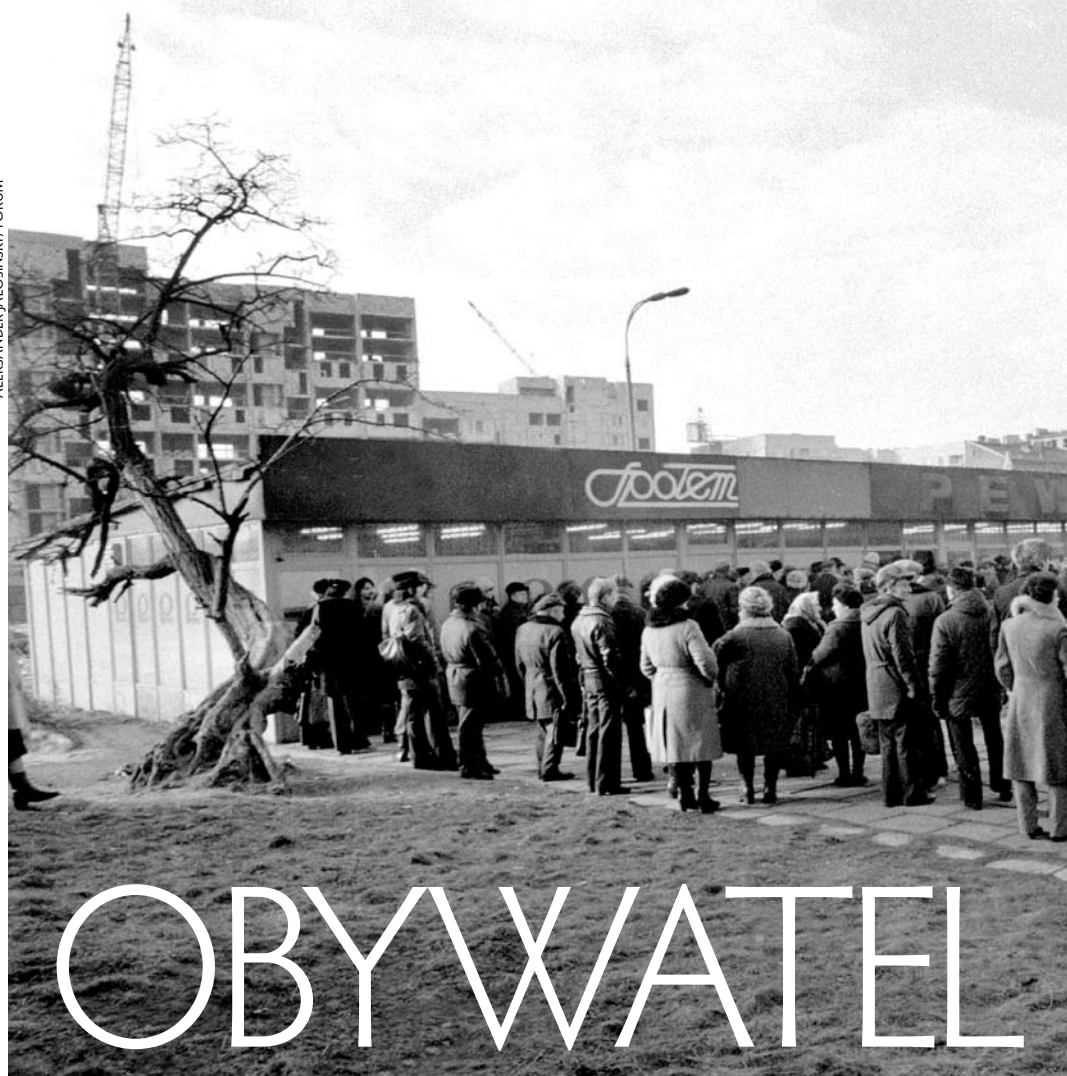
Przez cały okres istnienia PRL partia była właścicielem potężnego przedsiębiorstwa: Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej Prasa-Książka-Ruch. Był to największy koncern wydawniczy w naszej części Europy. Prowadził działalność wydawniczą, poligraficzną, kolportażową, handlową, a nawet kulturalno-oświatową. Posiadał własne placówki naukowo-badawcze. Na szeroką skalę RSW prowadziła działalność socjalną, wykorzystując będące w jej władaniu obiekty wczasowe, wypoczynkowe, rekreacyjne, szkoleniowe czy domy pracy twórczej. Była to organizacja o charakterze totalnym: wytwarzała swoje produkty, zajmowała się ich dystrybucją oraz zbytem. Do RSW należało 90 proc. rynku wydawniczego prasy (45 gazet codziennych, 235 czasopism, miała 7 wydawnictw i agencji książkowych), była monopolistą w dziedzinie druku i kolportażu. Wydawała książki, prasę, kalendarze, pocztówki, reprodukcje dzieł sztuki, płyty, kasyety z muzyką, kasyety wideo. Jedynym właścicielem i beneficjentem dochodów koncernu była PZPR.

Pod koniec swojej działalności, tj. od roku 1988, PZPR część wolnych środków finansowych zainwestowała w działalność gospodarczą. Wśród istniejących do chwili obecnej podmiotów gospodarczych beneficjentami PZPR były: Bank Inicjatyw Gospodarczych (czyli Bank Millennium), wydawnictwo MUZA SA, a przede wszystkim Agencja Gospodarcza i Transakcja, czyli spółki-matki wielu obecnie działających podmiotów gospodarczych. Jest to jednak już historia nie samej PZPR, lecz transformacji ustrojowej i gospodarczej po 1990 r.

ARNOŚĆ BEĆKA

→ ARNOŚĆ BEĆKA jest adwokatem, specjalistą od spraw cywilnych i gospodarczych, jednym z byłych likwidatorów majątku Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

ALEKSANDER JALOSIŃSKI / FORUM



OBYWATEL

jako posiadacz

OBYWATEL PRL-U MIAŁ BYĆ NIE TYLKO WSPÓWŁAŚCIELEM CORAZ WIĘKSZYCH I NOWOCZĘSIEJSZYCH DÓBR SPOŁECZNYCH, LECZ TAKŻE TYM, KTÓRY UCZESTNICZĄC W PROCESIE ICH TWORZENIA REALIZUJE, NA NIESPOTYKANĄ DOTYCHCZAS SKALĘ, INDYWIDUALNE ASPIRACJE I MARZENIA.

ANNA MACHNIKOWSKA

Sens przemian polityczno-ekonomicznych we wczesnym okresie formowania się Polski Ludowej miał polegać między innymi na upowszechnieniu i uspołecznieniu prawa własności. Tezę tę wpisano w mit założycielski nowego państwa. Właścicielem mienia stał się proletariats i „inteligencja pracująca”. Obywatele otrzymali prawo do uczestnictwa w zasobach materialnych zarówno na prawach suwerena, jak i konsumenta, a zakres tej aktywności określono kluczowym elementem w procesie rozwoju kraju i jego mieszkańców. Własność społeczną, zdaniem partii, cechowała sprawiedliwość (równy udział praw i obo-

wiązków każdego) oraz potencjał (największe i najbardziej zróżnicowane zasoby).

Podkreślano, że to właśnie ustanowienie obywateli zbiorowym gospodarzem państwowych gruntów, fabryk, sklepów, ale i dzieł sztuki oraz polskiej myśli technicznej upodmiotowiło masy ludowe. Ekonomiczna pozycja proletariatu uwiarygodniła też jego siłę polityczną. Dodatkowo, nowy typ własności środków produkcji powinien, zgodnie z ideologią marksistowsko-leninowską, generować taką ilość dóbr, która pozwalałaby na realizację zasady: „od każdego według jego zdolności, każdemu według jego pracy”. Wskazany kierunek zmian gwarantowała konstytucja PRL-u z 1952 roku.

W kształtowaniu przez propagandę modelu ustrojowym proletariats nie tylko zarządzał mieniem, lecz również podejmował inne decyzje dowodzące jego światopoglądowej dojrzałości. Część wytworzonych dóbr przeznaczal bowiem na kolejne wielkopremysłowe inwestycje, utożsamione z głównym źródłem ogólnego postępu. Natomiast pozostałą produkcję przetwarzał i rozdzielal, tak by sprostać licznym innym wyzwaniom współczesności, począwszy od właściwego zaopatrzenia rynku, poprzez rozwój sektora mieszkaniowego oraz systemów opieki zdrowotnej i edukacji, aż po ochronę przyrody. W rezultacie obywatel PRL-u miał być nie tylko współwłaścicielem coraz większych i nowocześniejszych dóbr społecznych, lecz także tym, który uczestnicząc w procesie ich tworzenia realizuje, na niespotykaną dotychczas skalę, indywidualne aspiracje i marzenia.

System nowoczesny, niemożliwy do oceny

Tak miało być – ale rzeczywistość przedstawiała się zdecydowanie odmiennie. To nie obywatele zarządzali własnością społeczną, zaś płynące z niej korzyści były znacznie mniejsze, niż powinny. W praktyce mienie



Warszawa, Targówek; 1982 r.

należało przede wszystkim do państwa. Spółdzielnie i organizacje społeczne zwykle dysponowały innymi rodzajami uprawnień – np. w postaci użytkowania mienia. Rozstrzygnięcia w sprawach majątku społecznego były podejmowane (często nawet z pominięciem decyzji administracyjnej) przez organy władzy wykonawczej, skutecznie unikające kontroli legalności i celowości zastosowanych rozwiązań. Dostrzegane w takich przypadkach odstępstwa od przewidzianych prawem procedur objaśniano wymogami centralnego planowania. System ten, według jego decydentów, był tak nowoczesny, że wymykał się tradycyjnym formom kodeksowym i kryteriom oceny efektywności. Ponieważ jednak, jak ustawicznie zapewniano, państwo socjalistyczne nie miało własnych interesów, nieobecni w owych procesach obywatele mogli nadal uważać się za właścicieli wszelkich dóbr poddanych planistycznemu rozporządzeniu.

Jedną z konsekwencji stworzonych w sprawie własności reguł stał się majątkowy status przedsiębiorstw państwowych. Pomimo posiadania osobowości prawnej, nie dysponowały one władczymi instrumentami odnośnie wytwarzanego i używanego mienia. Przyznane im przez kodeks cywilny prawo zarządu nigdy nie zostało sprecyzowane, a wskutek wspomnianych regulacji administracyjnych łatwiej było wskazać, czego organom przedsiębiorstwa nie wolno, niż to, jakie są ich kompetencje majątkowe. Analiza przepisów z tamtego czasu prowadzi do wniosku, że jedynym zadaniem, jakie dyrektor i przedstawiciele załogi mogli wykonywać w pełni samodzielnie (i byli do tego motywowani), pozostawało mobilizowanie pracowników do wytwarzania „więcej i lepiej” – a czasem tylko „więcej”.

Podobne trudności sprawiła rozstrzygnięcia, kto w PRL-u rozporządza mieniem przedsiębiorstw i decyduje o ich produkcji. Dla dociekliwych wystarczająca miała okazać się koncepcja jedności mienia ogólnonarodowego, prezentowana jako nowatorskie ujęcie tego, czym jest władza i własność w państwie socjalistycznym. Sprowadzała się ona do utrzymywania, że prawo do tego majątku przysługuje wyłącznie Skar-

bowi Państwa, nigdy zaś samym przedsiębiorstwom. Powoływano się przy tym na jedność władzy politycznej, w skład której wchodziła również sfera stosunków ekonomicznych. Scalenie imperium i dominium, jak zapewniano obywateli, chroniło i kształtowało proletariat jako suwerena, ponieważ „obiektywnie” (słowem tym bardzo często operowano w opisie ideologii PRL-u) nikt inny w tej sytuacji nie mógł zawłaszczyć mienia narodowego lub choćby jego niewielkiej części. Ten rodzaj centralizmu miał być jednak w pełni demokratyczny, czego dowodzono powołując się m.in. na istnienie licznych organów przedstawicielskich, w tym rad narodowych i związków zawodowych.

Świadczenia dodatkowe

Ułudę współczesnictwa proletariatu we własności społecznej podtrzymywał w PRL-u system dodatkowych, obok wynagrodzenia, świadczeń przysługujących pracownikom sektora państwowego. W grupie dóbr „do rozdania” znalazł się m.in. dostęp do mieszkań zakładowych, wczasów i kolonii, różnego rodzaju deputatów czy skierowania na kursy dokształcające. W rzeczywistości było to jedno ze źródeł nieformalnej zależności ekonomicznej „mas pracujących”.

Drugie łączyło się z utrzymywaniem dysproporcji między wartością pracy a siłą nabywczą wynagrodzeń. Ów fakt starannie ukrywano, posługując się takimi instrumentami jak reglamentowany obrót, ceny urzędowe, administracyjny tryb najmu (popularny kwaterunek). Ten ostatni pełnił rolę czynnika obniżającego koszty utrzymania części rodzin. Wysokość czynszu oraz opłat za media kalkulowano na poziomie umożliwiającym pracownikowi i jego rodzinie zachowanie środków finansowych wystarczających do zakupu żywności i ubrań. Dodajmy uczciwie: niezbyt wielu, o co dbano kazuistycznie regulując z kolei nakłady na konsumpcję. W gospodarce stałego niedoboru obywatel był jednak często zbyt zajęty zdobywaniem niektórych produktów, aby zauważyć, na jak niewiele z nich starczyłaby jego pensja, gdyby chciał je kupować w normalnym trybie, czyli wtedy, kiedy ich realnie potrzebował.

Chłopi często nie mogli nie tylko budować nowych pomieszczeń gospodarskich i mieszkalnych, ale nawet remontować już istniejących. Ingerencja administracyjna dotykała nawet przysłowiowego sznurka do snopowiązałek.

Jednostka pozostająca poza systemem sfery budżetowej (rolnicy, rzemieślnicy) lub nieokazująca wystarczającej lojalności wobec władz ryzykowała, że jej standard życia będzie niższy, właśnie ze względu na brak dostępu do dóbr rozdzielanych według kryterium zatrudnienia. Osobom, które korzystały ze świadczeń socjalnych, wmawiano równocześnie, że jest to rodzaj zysków generowanych tylko przez socjalistyczny model gospodarczy. Sugestia była tak wielka, że niektórzy obywatele uwierzyli, iż wszelki postęp cywilizacyjny (powojenna odbudowa miast, melioracja i elektryfikacja wsi, likwidacja analfabetyzmu, awans społeczny, zawodowy i materialny niektórych grup) zawdzięcza ją wyłącznie uspołecznieniu znacznej części własności. Mówiono przecież: „gdyby nie PRL, dalej pasłbym krowy”...

Tymczasem realny problem nowego modelu prawa własności polegał na tym, że mechanizm administracyjnie kontrolowanej dystrybucji dotyczył towarów podstawowych, na które popyt był stale niezaspokojony. Władza doprowadziła do sytuacji, w której bez pomocy państwa obywatel nie mógł zrealizować nie tylko swoich aspiracji, lecz często nawet fundamentalnych potrzeb życiowych.

Obywatel zawsze zobowiązany

Jak PRL ingerował we własność indywidualną? Często i głęboko, czasem nawet nieracjonalnie niwecząc istotę tego prawa i związanych z nim stosunków gospodarczych. Tak było na przykład w przypadku właścicieli budynków wielomieszkaniowych, którym odebrano nie tylko możliwość czerpania zysków. Ich dochody, uszczuplone urzędowymi stawkami czynszu, podatkami i przymusowymi odpisami na fundusze remontowe, nie wystarczały na utrzymywanie domów. Nie przeszkadzało to ustanawiać wobec nich wymagań m.in. dbałości o stan techniczny budynku, pod groźbą dotkliwych sankcji (w skrajnych sytuacjach skutkujące nawet utratą tego majątku). W konsekwencji substancja mieszkaniowa stopniowo niszczała nie tylko z powodu zubożenia właścicieli, ale i z braku interesu prawnego do działania po stronie najemców.

Podobnie manipulowano prawem wobec gruntów położonych na terenie miast. Nowe przepisy wymuszały korzystanie z tego rodzaju mienia przez osoby fizyczne na innych niż własność prawach – w tym przy wykorzystaniu instytucji użytkowania wieczystego. Jednocześnie stopniowo wywłaszczano tych, którzy nadal jeszcze dysponowali ziemią nierolniczą. Prawo pozwalało im w takich sytuacjach zachować jedną działkę budowlaną. Jako argument przywoływano konieczność unowocześnienia kraju, m.in. za pomocą planów zagospodarowania przestrzennego. Uważano, że aktywność państwa w tej sferze ułatwia pozyskanie nowych terenów pod budownictwo mieszkaniowe oraz obiekty użyteczności publicznej. Niektóre tereny rzeczywiście zostały tak przekształcone, ale łatwość, z jaką prawo pozwalało pozbawić własności

indywidualnej, sprawiła na dłuższą metę, że wywłaszczenie straciło pozycję środka wyjątkowego, a część odebranych nieruchomości przez dziesięciolecia leżała odłogiem z powodu braku dalszych decyzji administracyjnych lub pieniędzy na zapowiadane prace budowlane. Obywatel bywał w takich sytuacjach bezradny i bezbronny, ponieważ równocześnie odebrano mu możliwości ochrony sądowej: sądownictwo administracyjne przywrócono dopiero w 1980 roku, a możliwości zgłoszenia przed sądem powszechnym innych roszczeń w sprawach utraty własności znacznie ograniczono.

W szczególnym położeniu znaleźli się w PRL-u rolnicy – największa grupa indywidualnych właścicieli. Jej istnienie przedstawiano w oficjalnej propagandzie jako świadectwo upowszechnienia własności (wielu chłopów uwłaszczyła bowiem reforma rolna) oraz potwierdzenie realizacji „polskiej drogi do socjalizmu”, respektującej krajowe uwarunkowania społeczne. Choć położenie rolników było lepsze niż „kamieniczników”, również dla nich rzeczywistość nie przedstawiała się zbyt pomyślnie: pozbawiono ich wielu typowych uprawnień przysługujących właścicielowi.

Władze bardzo ograniczyły rynkową sprzedaż artykułów rolnych. Do 1972 roku część z nich była objęta systemem dostaw obowiązkowych, a stopniowo zastępująca go kontraktacja wiązała się z nadal zaniżonymi cenami urzędowymi. Chłopi nie mogli również rozporządzać ziemią według swego uznania. Jej obrót podlegał drobiazgowej kontroli administracji, która pilnowała, aby rolnik nie był właścicielem działki większej niż 15-20 hektarów (wyjątek dotyczył transakcji w kręgu najbliższej rodziny).

Obok tych obostrzeń, rolnicy doświadczyli innych, absurdalnych z punktu widzenia oficjalnie głoszonych postępu, ograniczeń. Jednym z nich była niedostępność na prawach własności podstawowych maszyn rolniczych: traktorów. Innym – utrzymywanie przez władzę reglamentacji wielu towarów niezbędnych w gospodarstwie indywidualnym. Chłopi często nie mogli nie tylko budować nowych pomieszczeń gospodarskich i mieszkalnych, ale nawet remontować już istniejących. Ingerencja administracyjna dotykała nawet przysłowiowego sznurka do snopowiązałek.

Charakterystyczną metodą dysponowania przez państwo własnością obywateli było też zmuszanie ich do różnych form oszczędzania. W ten sposób kredytowali oni niektóre działania w pełni kontrolowane przez administrację, na przykład w sferze budownictwa mieszkaniowego (książeczki mieszkaniowe) czy rozwoju motoryzacji (przedpłaty i talony na samochody). Czasem, jak w przypadku właścicieli domów i rolników, oszczędzanie sprowadzało się do ukrytej postaci podatku. Od osób zatrudnionych w sferze budżetowej wymagano też dodatkowej pracy, inicjowanej „spontanicznymi” zobowiązaniami załóg deklarujących przekroczenie planów produkcyjnych. Całość przedstawiano jako przejaw socjalistycznej wspólnoty interesów i zrozumienia tego, czym jest własność społeczna. O tym, co rzeczywiście wynikało z takich akcji, a także o przyczynach, dla których musiały być one podjęte, na forum publicznym już nie rozprawiano. Nominalni właściciele „dziesiątej potęgi gospodarczej świata”, jak w latach siedemdziesiątych propaganda mówiła o Polsce, wciąż nie mogli nabyć swobodnie nawet meblów.

→ Dr ANNA MACHNIKOWSKA jest prawnikiem, autorką wydanej w ubiegłym roku książki „Prawo własności w Polsce w latach 1944–1981. Studium historycznoprawne”. Pracuje na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego.

PRZESTĘPCY *mimo woli*

ZMIANY PO 1956 R. PRZYNIOSŁY „PRYWATNEJ INICJATYWIE” MOŻLIWOŚĆ ROZWOJU.

NIE ZLIKWIDOWAŁY JEDNAK PODSTAWOWYCH BARIER SYSTEMOWYCH. W ICH WYNIKU, Wbrew INTENCJOM SAMYCH ZAINTERESOWANYCH, RZEMIEŚLNICY I HANDLOWCY SZYBKO ZACZĘLI ZAPEŁNIAĆ SAŁE SĄDOWE.

KRZYSZTOF MADEJ

Wbrew pozorom, zwycięska dla komunistów „bitwa o handel” z 1947 r. nie oznaczała definitywnego końca prywatnej inicjatywy w Polsce Ludowej. Jak ustalili historycy Maria Pastor i Dariusz Jarosz, w 1953 r., czyli w okresie apogeum polskiego stalinizmu, działało ok. 17 tysięcy prywatnych placówek handlowych i ok. 900 prywatnych zakładów gastronomicznych. Według oficjalnych danych w sektorze prywatnym (poza rolnictwem) w 1955 r. zatrudnionych było ok. 240 tysięcy osób, zaś pod koniec dekady już ok. 390 tysięcy. Ten „żywiolowy” (jak go określano w oficjalnych dokumentach) wzrost miał kilka przyczyn. Po pierwsze, wzrastały aspiracje konsumpcyjne utrzymywane uprzednio, w czasie realizacji planu sześcioletniego, właściwie na poziomie zaspokajania elementarnych potrzeb życiowych. Zwiększeniu potrzeb sprzyjał wzrost płac realnych w okresie 1956–1958 o ok. 25 procent. Po drugie, sama władza widziała potrzebę zmiany struktury zatrudnienia, przeprowadzając m.in. znaczące redukcje w aparacie administracyjnym państwa i PZPR.

Spekulacja i korumpujący „prywaciarze”

We wspomnieniach i ówczesnej prasie znaleźć można budujące przykłady osób, które po rozstaniu z państwową posadą nieźle sobie radziły w nowej rzeczywistości. Małżeństwu urzędników z ministerstwa przemysłu chemicznego udało się „wychodzić” koncepcję na produkcję guzików. Prasa warszawska informowała o urzędnikach z Ministerstwa Skupu prowadzących restaurację przy

ul. Chocimskiej lub o zredukowanym urzędniku z Ministerstwa Rolnictwa, wypożyczającym dziecinne rowerki.

Zarazem jednak władze nie dopuszczały możliwości, by zmianie ulec mogły dotychczasowe reguły gry, stawiające w uprzywilejowanej sytuacji podmioty państwowe. W przyjętych po 1956 r. aktach normatywnych regulujących produkcję i świadczenie usług znalazły się dyskryminujące zapisy, takie jak możliwość odmowy zezwolenia na prowadzenie działalności gospodarczej, jeśli „zapotrzebowanie na danego rodzaju artykuł lub usługi jest pokryte pod względem ilościowym i jakościowym przez jednostki gospodarki uspołecznionej”, czy przepis o konieczności preferowania oferentów państwowych.

Ponadto, jak konstatawał w latach 60. na łamach „Życia Gospodarczego” Jerzy Urban, gdyby na serio zadano sobie pytanie, skąd rzemieślnicy biorą surowce, należałoby zgodzić z prawem zlikwidować rzemiosło. Dotyczyło to również spółdzielni mieszkaniowych, które po 1956 r., w odróżnieniu od budownictwa państwowego, z nadwyżką wykonywały plany inwestycyjne, nie zawsze potrafiąc wyjaśnić pochodzenie wykorzystywanych materiałów budowlanych.

Ograniczenia te sprzyjały wchodzeniu w konflikt z prawem osób mniej lub bardziej oficjalnie podejmujących działalność gospodarczą na własny rachunek. Pierwszą normą, jaką wówczas łamano, były przepisy antyspekulacyjne.

Handel stanowi pierwszą (przed produkcją czy rzemiosłem) oznakę ożywienia aktywności ekonomicznej społeczeństwa. Wystarczy sobie przypomnieć Warszawę z początku lat 90. zamienną w wielki bazar. Gospodarka PRL, funkcjonująca właściwie poza bodźcami podaży i popytu, wykreowała grupę ludzi, których podstawowym zajęciem stała się spekulacja, czyli kupowanie w państwowym sklepie czy przedsiębiorstwie tego, co można sprzedać z zyskiem, np. innemu przedsiębiorstwu państwowemu.

W tym kontekście nie dziwią ani historia przedsiębiorcy z Krakowa, który w połowie lat 50. nabywał od państwowych fabryk i hut drut oraz wyroby stalowe, by je następnie sprzedawać z zyskiem innym podmiotom państwowym, ani dane liczbowe: w 1958 r. objęto aktami oskarżenia za przestępstwa spekulacyjne 11 600 osób, a rok później już 12 100.

Inna rzecz, że władze w swojej histerii antyspekulacyjnej potrafiły też nieźle przesadzić. Choćby uznając za spekulację potrzebny i mający na polskiej wsi długą tradycję

handel końmi. Tak właśnie zakwalifikowano działalność pewnego chłopca ze Sławna, który w latach 1956–1960 nabył od rolników ok. 50 koni, a następnie w innych wsiach sprzedał je z zyskiem.

Trzeba też jasno podkreślić, iż w ówczesnych realiach handlowej kooperacji sektora nieuspołecznionego z uspołecznionym znaczną rolę spełniała wręczana w tej czy innej postaci łapówka. W ramach jednego z wątków wielkiej afery mięsnej w Warszawie wykryto, iż spora część prywatnych dostawców wędlin „zaopatrywała się” w kradzione mięso w Miejskim Handlu Mięsem w Warszawie.

Los sprzedawcy wyrobów rodzimego rzemiosła w latach 60. dobrze oddają uwagi Janusza Rolickiego z reportażu, który opublikował w tomie „Brałem łapówki”: „Uznało się ich, akwizytorów, przed laty za postkapitalistyczną instytucję. Potem przyszły dla nich czasy co prawda lepsze, (...) ale też wielu ma im tę małą rehabilitację za złe. Demoralizują i pewnie przekupują – powiada wieść gminna”.

Niesłuszna byłaby jednak konstatacja, iż wobec prywatnego sektora państwo realnego socjalizmu występowało wyłącznie w roli oprawcy. Zgodzić się raczej należy ze znawcą czarnego rynku w PRL-u, Jerzym Kochanowskim, iż względnie dobrą kondycję sektor prywatny zawiązywał w dużej mierze formalnym i nieformalnym transferom środków publicznych. Jak w Świdwinie, gdzie prywatni wykonawcy za zgodą urzędników z Rady Narodowej znacząco zawyżyli rachunki za remont 48 zagród wiejskich. Zgodę uzyskano dzięki łapówkom.

Podejrzani adwokaci i lekarze

Nie tylko rzemieślnicy i handlowcy stawali się w oczach władz podejrzаныmi, a często faktycznymi sprawcami przestępstw gospodarczych. Dotyczyło to także przedstawicieli wolnych zawodów: lekarzy i adwokatów.

Względnie niezależna palestra była sołą w oku władz. W samej korporacji na początku lat 60. pojawiały się plotki o planach „upaństwowienia” adwokatury na wzór czechosłowacki. W tym kontekście nie dziwią charakterystyki obrońców podobne do tych przygotowywanych przez SB dla KW PZPR w Lublinie, gdzie pisano m.in.: „Uwidacznia się przede wszystkim: dążność osiągnięcia maksymalnych dochodów, najczęściej poprzez nielegalne pobieranie opłat za usługi prawne; hołdowanie zasadzie wygodnego życia”.

W wielu opiniach pojawiały się informacje (często będące wynikiem donosów środowiskowych) o zawyżaniu przez przedstawicieli adwokatury honorariów i nienależytym rozliczaniu się z fiskusem. Fakty te władze często wykorzystywały do poskromienia niepokornych prawników, którzy zbyt silnie angażowali się w obronę swoich klientów w procesach politycznych czy właśnie gospodarczych.

Nieco inny charakter miały naruszenia prawa popełniane przez medyków. Znaczna ich część musiała pracować za niewielkie pieniądze w wiejskich warunkach na wsiach i w małych miasteczkach. Zdarzało się, iż za kilkadziesiąt ówczesnych złotych lekarze wystawiali osobom nieuprawnionym zwol-

nienia lekarskie. Jednocześnie potrafili wykorzystywać biedę i brak upodmiotowienia swoich pacjentów. Bywało, że lekarz praktykujący na wsi brał bardzo niewiele za wizyty, jednocześnie sprzedając swoim pacjentom bezpłatne leki za kilkaset złotych. Lekarze praktykujący prywatnie wykorzystywali również publiczny sprzęt i medykamenty.

Domiarom i propagandą

Drugi legalnej i nielegalnej prywatnej inicjatywy krzyżowały się w miejscach, gdzie bezprawnie handlowano walutą i złotem. Z jednej strony ówczesny oficjalny kurs waluty był rażąco zaniżony w stosunku do rynkowego. Z drugiej, rzemieślnicy chcący zakupić na Zachodzie deficytowy towar (choćby nylon) nie mogli go nabyć legalnie.

Nie tylko to zresztą napędzało koniunkturę na „zielone”. W ówczesnych realiach nie wypadło (nie było to też bezpieczne) żyć zbyt dostatnio. Tragiczny bohater afery mięsnej Stanisław Wawrzecki, na którym w 1965 r. wykonano karę śmierci, żył skromnie bez samochodu, a nocą zakopywał zgromadzone kosztowności i dewizy na działce. Nie jest przypadkiem, że MO i SB podczas przeszukań u faktycznych i domniemyanych przestępców gospodarczych znajdowały relatywnie dużo dolarów czy złotych monet. Były to zarówno lokaty na czarną godzinę, jak i kapitał obrotowy.

Popaździernikowe zielone światło dla „prywaciarzy” kończy się definitywnie na początku lat 60. Władze zaczęły sobie wtedy przypominać o domiarach podatkowych naliczonych w latach 40. w ramach „bitwy o handel”. Jedną z katowickich rodzin musiała np. od 1961 r. przez 11 lat spłacać domiar naliczony w roku... 1949.

Jednocześnie w związku z ujawnianymi na szerszą skalę tzw. aferami gospodarczymi ówczesne władze i media ogarnęła swoista histeria antyprywaciarska. Jako jeden z powodów nadużyć w handlu wskazywano na fakt, iż część zatrudnionych tam osób pracowała wcześniej w sektorze prywatnym.

Mimo wspomnianych represji i fobii władze wiedziały, że bez udziału prywatnej inicjatywy nie są w stanie zaspokoić aspiracji bytowych społeczeństwa. Nawet w zaleceniach będących pokłosiem warszawskiej afery mięsnej wskazywano na konieczność likwidacji prywatnych masarni tylko tam, gdzie zaopatrzenie w wędliny w pełni zaspokajają przedsiębiorstwa państwowe. Podobnie indywidualne budownictwo „żywiło się” kosztem państwowych budów, a władze skłonne były przymykać oko na niektóre działania lekarzy, byleby miał kto w kraju leczyć. ◆

- W tekście wykorzystano badania własne oraz informacje m.in. z publikacji: D. Jarosz, M. Pastor, „Afera mięsna. Fakty konteksty”, Toruń 2004; J. Kochanowski, „Tylnymi drzwiami. »Czarny rynek« w Polsce 1944–1989”, Warszawa 2010.

→ Dr KRZYSZTOF MADEJ jest historykiem. W latach 2001–2006 pracował w Biurze Edukacji Publicznej IPN. Ostatnio opublikował: „Bezradność lub represja. Władze wobec przestępczości gospodarczej w PRL (1956–1970)”, Warszawa 2010.

KONKURS DLA CZYTELNIKÓW

Alain Touraine mówił, że przyjechał do Polski badać „Solidarność” z bliska, bo chciał wykonać gest przeciwko pewnemu prezydentowi. O którego prezydenta chodziło?

„TP” 24/11
TYGODNIK POWSZECHNY

Dla tych z Państwa, którzy najszybciej nadesłają prawidłową odpowiedź, mamy książkę Alaina Touraine’a „Solidarność. Analiza ruchu społecznego 1980–81”, ufundowaną przez Europejskie Centrum Solidarności. Na odpowiedzi czekamy do 27 czerwca. Nasz adres: tp@tygodnik.com.pl, z tematem „TP 24/11”.